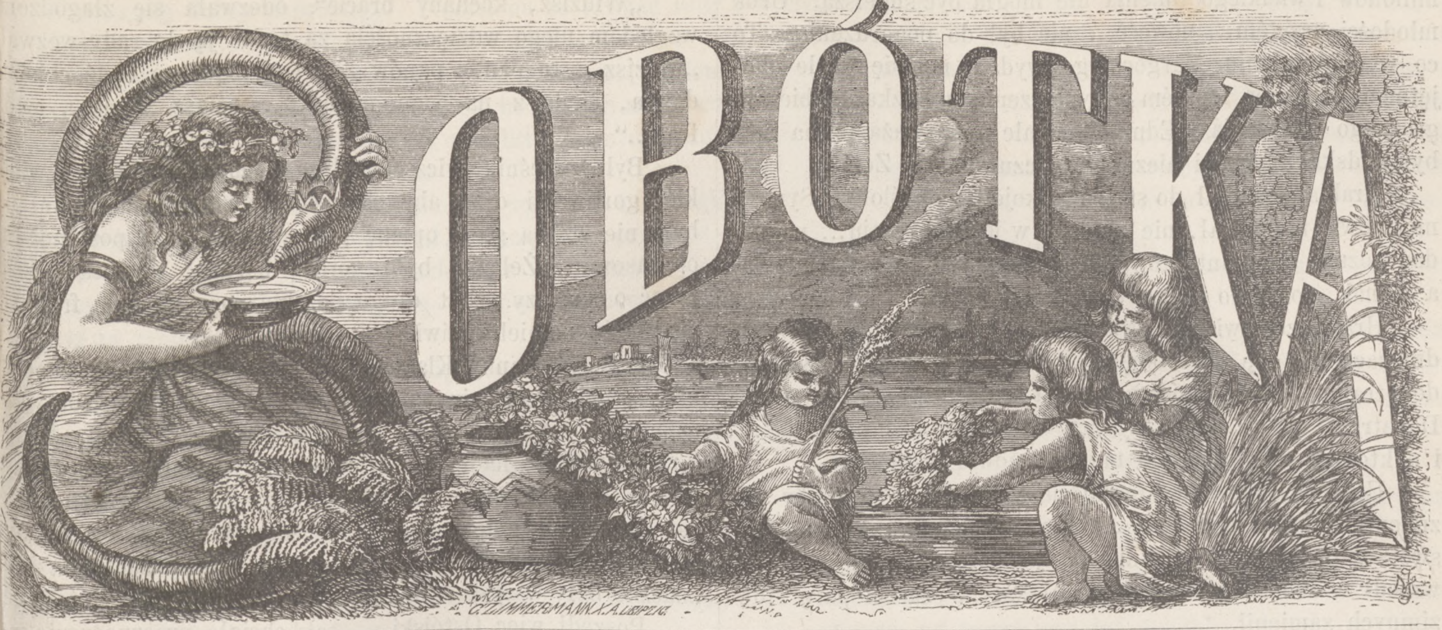
Nr. 17. Poznań, dnia 22. Kwietnia 1871. **Rok III.**



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Chociaż p. hrabina gościła u cesarzowéj i była w przyjaźni z ks. Metternich, gdy okoliczności zmuszały ją do pobytu na wsi, obchodziła się takiem towarzystwem jakie mieć mogła, byle nie została samą. Z przyjazdem hrabiego który nierównie był w wyborze trudniejszym i mniéj przystępnym, w pałacu musiało się wiele zmienić. Wprawdzie hrabia nie rozkazywał, nie mięszał się, nie przeszkadzał, ale umiał obejściem się swém, miną, jedném niczém okazać dotkliwie czyja przytomność była mu nieprzyjemną. Jednym ze środków przezeń najpospoliciéj używanych do odpłaszania ludzi, było ignorowanie ich zupełne. Tych, których sobie nie życzył, nie widział, nie słyszał, nie znał; nie mówił do nich, unikał spojrzenia, nie odpowiadał na pytania, słowem obchodził się z niemi jak gdyby ich tam nie było. W ten sposób nie używając gwałtownych środków, umiał się w końcu pozbyć każdego. Zaraz następującego dnia zobaczywszy w pałacu zwykłe towarzystwo, ks. Wikarego który zwał się kapelanem, pana Juliana, którego mianowano doktorem anticipative, naostatek pannę Zofię z panną Klarą, hrabia rozpoczął postrzeżenia swe i postanowił w duchu oczyścić pałac z żywiołów napływowych, które mu się nie podobały. Kapelan uzyskał amnestyę już dla swéj sukni, już przez to że mówił biegle o książętach rzymskich i kardynałach z którymi, jak utrzymywał, poufale obcował, Julian nie zbyt mu się podobał, lecz względem niego postanowił do czasu zachować się neutralnie, co się tyczy panny Zofii i cioci, na to spojrzawszy z ukosa, hrabia nie rozbrojony wdziękiem pierwszéj, ani wdzięczeniem się drugiéj, powiedział sobie że je wyprawi na folwark.

Dla samego syna nie chciał tolerować ich pobytu i odwiedzin w pałacu częstych pod pozorem muzyki. Zaledwie się pannie Zofii skłoniwszy, nieodpowiedziawszy ani słowa na wyszukany komplement panny Klary, stary pan szukał tylko środka grzecznego okazania tym paniom ażeby poprzestały bywać w pałacu. Z mężczyznami nierównie łatwiéj, z kobietą bardzo trudno, niegrzecznym bowiem we własnym domu ani być mógł ani chciał.

Zaraz pierwszego wieczora gdy Zosia wedle swojego obyczaju wcale nie zmięszana przytomnością hrabiego, śmiało gwarzyła i wypowiadała myśli swoje z dziecięcą naiwnością i odwagą, hrabia wysłuchawszy szczebiotania, poznał że miał do czynienia z niepospolitą istotą.

To go więcéj jeszcze nastraszyło. Nie odzywał się wcale do niéj, udawał że nie patrzy ale uważnie słuchał rozmowy jéj z hrabiną, z Caritą i synem. Śmiałość, świeżość myśli, spokój z jakim mówiła mocno go zastanowił. Dziedziczka

milionów i wielkiego imienia nie mogła być śmielszą. Urok młodości przytém... nowość... nie był do pogardzenia. To co w opowiadaniu Margockiego wydało mu się wcale obojętném, teraz po lepszém przypatrzeniu z blizka, nabierało groźnego znaczenia. Edmund wcale nie zważając na ojca był nadskakującym i niezmiernie czułym dla Zofii.

Hrabia powrócił do swych pokojów zamyślony. Synowi nic mówić nie chciał, nie było to w jego obyczaju... pannie dać poznać nieukontentowanie nader zdawało się trudném, a jednak, coś było począć potrzeba.

Hrabia zostawił stanowczą decyzyę czasowi. Następnych dni zachował się jak obojętny widz tylko, ale oko miał nader trafne i najmniejszy ruch a skinienie mu nie uszło. Dopatrzył się tu nawet rzeczy których nikt nie widział... i o których nie wypadało mu też mówić nikomu.

Upłynął tydzień od przybycia hrabiego... na pozór nie zmieniło się nic w pałacu... Stary wszakże do nowych gości swéj żony nigdy słowa nie powiedział, nie zapytał, nie wszedł w rozmowę. Z jednym Wikarym czasem parę słów zimnych zamienił.

Po tygodniu gdy wszystko zdawało się iść już swym trybem bez najmniejszéj z jego strony przeszkody... jednego poranka, namyśliwszy się hrabia napisał bilecik i oddał go swemu kamerdynerowi z poleceniem, aby go ktoś niepostrzeżenie odniósł na folwark... Kartka ta bardzo złą polszczyzną napisana i nieczytelna, zapraszała pana Ostójskiego, ażeby był tak grzeczny i nazajutrz o godzinie dziesiątéj hrabiego odwiedził.

Ostójski, który zwykle wszystkie interesa z Margockim kończył, a z hrabią nigdy żadnego nie miał i mówić z nim nawet nie umiał, niezmiernie się temu zaproszeniu zdziwił i zafrasował, gdyż inaczéj wytłomaczyć go sobie nie mógł jak — potrzebą pożyczenia pieniędzy — i to grubych. — Ulokować zaś na odłużonych dobrach na czwartym lub piątym numerze po landszafcie sumę znaczną, było toż samo co ją na wieki stracić. Wymówić się nieposiadaniem jéj nie było sposobu znowu, bo zdrajca Margocki mógł o obrocie kapitałów szlachcica doskonale zawiadomić.

Nie powiedział zrazu nikomu o zaprosinach Ostójski, kabałę pociągnął, nie wyszła, był zły...

Trzeba było nazajutrz iść do pałacu o godzinie dziesiątej... rodziło się wszakże dla szlachcica pytanie którego on bez rady osób doświadczeńszych rozwiązać o swéj sile nie umiał. W surducie iść, jako zrana, czy we fraku, jako do excellencyi i jurisdatora? — Nie chciał chybić jemu ale też i sobie, okazując się nieobeznanym ze zwyczajami światowemi. Instynkt dyktował surdut, obawa tradycyjna przed jaśnie wielmożnym — frak i ową znowu nieśmiertelną rękawiczkę białą. Pociągnął kabałę na frak, — nie wypadła, los więc oświadczał się za surdutem. Rodziły się zatém skrupuły. Hrabia był niesłychanie dumny, był szambelanem bodaj dwóch dworów, kawalerem kilku wysokich orderów, miał gwiazdę... Ostójski uczuł się tak niepewnym iż musiał zwierzyć się siostrze...

Panna Klara wysłuchała petycyi milcząca i głęboko zadumana — nie wydała wszakże natychmiastowego wyroku, ważyła długo co za i przeciw powiedzieć się dawało.

„Widzisz, kochany bracie“, odezwała się złagodzona względem niego wdzięcznością za to że ją do rady wezwał, „widzisz... to pan z panów... i twój bądź co bądź chlebodawca, siedzisz na jego majątku... znasz dumę... włóż frak...“

Byłby Cześnikiewicz włożył go niechybnie, gdyby z wielkiéj gorliwości o to aby się wydał świeżym choć nim nie był, nie wzięła go w opiekę panna Klara i nie postanowiła odprasować. Żelazko było gorące bardzo, służąca weszła pytać o rozkazy, zbyt długo pozostawione na pole fraka... spaliło ją najnielitościwiéj, do dziury.

Rozpacz panny Klary odmalować się nie daje, chociaż ona nic nie była winną, tylko ta głupia służąca która weszła nie w porę i stała się katastrofy przyczyną. Drugi z rzędu frak — nader podżyły i o białym dniu nie możebny, sługiwał tylko na te baliki i wieczory w sąsiedztwo gdzie zawsze sosem oblewano i świece kapały. Przy świetle był jeszcze uchodzący, ale o godzinie dziesiątéj nadto na nim znaczne były wszystkie blizny w mnogich walkach odniesione.

Poszedł więc Ostójski — tak chciało przeznaczenie — w czarnym surducie spiętym na jeden guzik żołądkowy, ale w kamizelce białéj i cylindrze. Wpuszczono go natychmiast i to nie do sali audyencyonalnéj, ale do gabinetu hrabiego co było już dowodem szczególnéj łaski. Hrabia miał na sobie przepyszne ranne ubrańko z lekkiéj flaneli a na głowie fezik nader zręcznie ułożony. Pozdrowił Ostójskiego uprzejmie, wskazał mu krzesło, sam usiadł nachylając się ku niemu, i rozpoczął rozmowę.

Nim z niéj jednak zdamy sprawę, poprzedzim ją małą uwagą ku zrozumienin potrzebną.

Ostójski był bardzo łagodnym, dobrodusznym i pokornym nawet człowiekiem, to nie ulegało wątpliwości, miał jednak słabe i drażliwe w sercu punkta których dotykać nie należało — bo tu, jak za przyciśnięciem sprężyny odzywała się i buta szlachecka i obrażona miłość własna i krew gorąca którą powierzchownie jak lawę wulkanu czas ostudził choć pod spodem rozpłomieniona jeszcze płynęła... Tych odcieni charakteru mało kto z najbliższych Ostójskiemu był świadomy, a cóż dopiero hrabia który go znał tylko jako potulnego swojego dzierżawcę, wyglądającego na hreczkosieja, szczęśliwego gdy go łaskawe słowo z ust pańskich zaszczyci.

„Mój kochany panie Ostójski“, rzekł hrabia powoli „daruj mi żem acana dobrodzieja fatygował, mam do pomówienia. Znam go jeśli nie osobiście to ze stosunków naszych zdawna, jako godnego człowieka.“

Ostójski wstał z krzesła, ukłonił się, kapelusz upuścił podjął go i słuchał.

„W delikatnéj cale materyi, zmuszony jestem przemówić do niego.“ Hrabia westchnął.

„Acan dobrodziéj sam ojcem jesteś...“

Ostójski znowu się skłonił, ale kapelusz aż zgniótł tak trzymał, żeby mu powtóre nie upadł...

„Jest rzecz taka... hrabia Edmund, człowiek młody niedoświadczony, znać miękkiego serca i płochy, widzi mi się do córki asindzieja, pięknéj panny Zofii zbytni okazywać afekt. Bardzo mnie to zasmuciło, bo i dla panienki to gr

niebezpieczna, i naturalnie — nic z tego być nie może — i chłopiec się durzy napróżno... Trzeba na to szukać rady i temu zapobiedz... aby się to nie przeciągało..."

Ostójski słuchając zrazu uszom nie dowierzał, potém zczerwieniał cały jak rak, zakrztusił się bo czuł że mu krew napływa do głowy... i choć hrabia zamilkł, dając mu czas do odpowiedzi, słowa wyjąknąć nie mógł.

„Niepodobna żebyś pan lub siostra jego nie dostrzegli tego, żeby ojciec tego nie wiedział, muszę więc przypuszczać", dodał hrabia, „iż może rachujecie na słabość młodzieńca, matki i moją, a czuję się w obowiązku oświadczyć mu iż ta rachuba omyli..."

Ostójski pod koniec zerwał się zburzony, zadławiony gniewem, zapomniawszy zupełnie że mówił z ekscelencyą gwiazdzistą i jurisdatorem.

„Panie hrabio", zawołał głośno i prawie krzykliwie.

Hrabia za rękę go chwycił.

„Na miłość Boga, tylko ciszéj!"

„Panie hrabio", wyrywając rękę krzyknął Ostójski, „moja córka... moja córka... ja, mości dobrodzieju, nie potrzebuję żadnych podobnych rachunków..."

„Tylko ciszéj, proszę cię i nie gniewaj się, panie Ostójski", rzekł hrabia skłopotany nieco, „no! to dobrze, to bardzo dobrze! więc cicho, zgoda... niech tylko w pałacu nie bywa."

„Aleśmy my, mości dobrodzieju, panie hrabio", dodał Ostójski jeszcze bardziéj rozjątrzony, „wcale się tam nie cisnęli. Nie żądni jesteśmy towarzystwa do którego nie nawykliśmy, mamy swoje. Córka moja udała się tam na wyraźne zaproszenie i naleganie pani hrabinéj. Żadnych koperczaków do mojéj córki, gdybym je widział i one przypuszczał — nie dopuściłbym... bo córka moja partyę sobie odpowiednią znajdzie..."

„Tylko nie gniewaj że się, mój panie Ostójski", rzekł hrabia zmięszany, „nie bierz tych rzeczy tak gorąco... nie urażaj się. Rozumiesz to bardzo dobrze iż ja dla mojego syna partyi odpowiedniéj i majątkiem i imieniem szukać muszę, a nie..."

Ostójskiemu oczy krwią zaszły.

„Ale ja także! ja także! mości dobrodzieju! panie hrabio. Ja w tém szczęścia córki nie widzę żeby poszła za panicza którego by rodzina krzywo na nią patrzała. Zosia ma swoje sto tysięcy talarów gotówki, czego czasem i księżniczki nie mają, ma poczciwe imię, młodość, rozum, a z tém się prosić nie potrzebuje aby ją kto wziął."

Ostójski był tak zburzony i gniewny iż obawiając się aby mu język nie poddał jakiéj niedorzeczności, natychmiast, mimo że hrabia usiłował go uśmierzyć i zatrzymać, ukłonił się i z impetem wielkim wyszedł.

Nie wiedząc co począć a uczuwszy dopiero iż popełnił wielką niezręczność, nie obrachowawszy dobrze charakteru szlachcica, hrabia pozostał w gabinecie blady, zmięszany i sam na siebie gniewny. Czuł bowiem iż to wystąpienie musi za sobą pociągnąć skutki nieprzyjemne... Lecz co się stało, odstać się nie mogło.

Ostójski wybiegł raczéj niżeli wyszedł z oficyny, szczęściem że go nikt nie widział, pogięty kapelusz, zapomniawszy o znajdującéj się w nim rękawiczce, wbił na głowę tak iż białych palców część zwisła mu na czoło, czego w wielkiem rozgorączkowaniu nie czuł, opędzając się rękawiczce niby muchom natrętnym. Sam nie wiedział jak się dostał na folwark... W kapeluszu na głowie wpadł do pokoju w którym córka grała na fortepianie, rzucił się do niéj całując ją i ściskając — stłumionym powtórzywszy kilkakroć głosem.

„Od dzisiejszego dnia... ani noga twoja w pałacu... proszę i rozkazuję."

Na głos ten wpadła jakby przeczuwająca coś panna Klara.

„Słyszy siostra", zawołał Ostójski, „jam ojciec tu i mam prawo dyspozycyi, od dzisiajszego dnia, chociażby postokroć zapraszano, nikt nie pojedzie do pałacu. Stosunki są zerwane. Ja tak chcę i dysponuję."

„Ale cóż się stało?" zapytała panna Klara.

„Nic się nie stało, tylko ja ojciec, głowa domu i pan, chcę by tak było i — rozkazuję."

„Zawołać Jakóbka."

Panna Klara stała niema.

„Proszę mi kazać zawołać Jakóbka..."

Jakóbek był chłopak pełniący różne funkcye, lokaja, kamerdynera, woźnicy a nawet dozorcy w polu. Przeważnie jednak półmiski roznosił i posługiwał w salonie.

„Zawołać Jakóbka!" po raz trzeci powtórzył pan Ostójski, aż sama Zosia pobiegła po niego, czemu się nie sprzeciwił. Tego czasu użyła panna Klara aby go spytać znowu.

„Ale cóż bratu jest?"

„Nic mu nie jest i proszę mnie o nic nie pytać. Dysponuję bo mi się tak podoba..." W téj że chwili Zosia wbiegła prowadząc ze sobą Jakóbka, który w pospiechu nie mając czasu przywdziać surduta, zjawił się w granatowéj kamizelce.

„Jakóbek mnie wysłucha z uwagą i spełni co do joty to co mu powiem. Słyszysz — co do joty."

„Słyszę panie."

„Włożysz surdut naprzód, porzucisz wszelką inną robotę, kto inny cię zastąpi, staniesz w ganku i będziesz stać od godziny 10 rano do wieczora. Jeźliby kto przyjechał lub przyszedł z pałacu, hrabia dziedzic stary czy młody, czy ktokolwiek bądź — zastąpisz mu drogę i powiesz wyraźnie i dobitnie, że państwa nie ma w domu. A jeśliby się wnijść upierał, — zamkniesz drzwi pod nosem — słyszysz?"

„Słyszę, proszę pana" rzekł Jakóbek, „alež oni widzą i wiedzą kiedy państwo są u siebie — cóż ja będę kłamał?"

„Tylko mi ty nie teologuj i nie kręć," zawołał Ostójski, „dla wszystkich my jesteśmy w domu, a dla nich — nie." Jakóbek gębę otworzył.

„Zrozumiałeś?"

„Rozumiem, proszę pana, to tak jak w mieście, gdzie choć kto jest doma, nieprzyjmuje..."

„Jeśli spytają o mnie — nie ma, o pannę Klarę, — nie ma, o pannę Zosię, nie ma. Nie ma i nie ma."

„A dopóki to ma być?"

„Póki cię ze szyldwachu nie zdejmę," rzekł Ostójski.

Dobył sakiewki z kieszeni, dostał z niéj talara bitego i dał chłopcu — „porzuć wszystko i idź na wartę w ganek.“

To rzekłszy spocony, zmęczony, rzucił się Ostójski na kanapę i uznojone czoło sparł na dłoni. Zosia i panna Klara stały nad nim milczące nie śmiejąc go nawet zapytać co się stało. Rzadko go widywano w tym stanie, a gdy był tak podraźniony, wiedziano iż mu się trzeba dać wysapać, dopiero sam potém udobruchany z serca ciężar z rzuci i wygada się.

Panna Klara zrozumiała tylko jedno, iż jéj dla Zosi nadzieje rozchwiane były, iż coś stawało téj miłości na którą ona rachowała — na przeszkodzie.

Zosia przyjęła to obojętnie, dla niéj jakkolwiek pałacowe towarzystwo było dosyć przyjemném, ceniła je głównie z tego, że tam teraz częściéj Juliana spotkać, spojrzeć na niego i śledzić go mogła.

Ostójski siedział długo oparłszy głowę na dłoni, wzdychał, kręcił się, mruczał, nareszcie oczy odsłonił i zobaczył już tylko Zosię samą, która z troskliwością dziecięcą, w milczeniu siedziała czekając aż ochłonie.

„Ty tu jesteś?“ spytał cichym głosem, „dobre dziecko? Prawda? nie gniewasz się na mnie? nie?“

„Za co?“

„Za to, że cię towarzystwa pałacowego pozbawiłem... ale niech ich tam wszystkich... wezmą. Nam nic po niem, nie.. Toć przecie ludzie z innéj gliny i innego gatunku. Co nam po nich, co im po nas? Pókiśmy im gotowi jak pudle na dwóch łapach służyć, póty dobrze, ale uchowaj Boże myśleć się o równe upomnieć prawa...“

„Mój tatko — o cóż poszło?“

Ostójski pomyślał trochę, jakby rozważał czy ma jéj wszystko powiedzieć, potém rzekł:

„Na co ci mam taić. Stary hrabia mnie wezwał dziś rano, aby mi oświadczyć, iż my napróżno rachujemy na bałamucenie jego syna... bo on się w żadnym razie z tobą nie ożeni... A razem prosił... abyś ty nie bywała w pałacu.“

Zosia skoczyła zapłoniona, gniewna jak ojciec, uderzając w rączki.

„A ty? a ty?“ spytała.

„A jam mu powiedział, że my nikogo ciągnąć nie potrzebujemy, że my... tego. No, dosyć żem mu szpetnie zmył głowę i wypadłem. Teraz trzeba się innéj dzierżawy starać, bo gdyby oni mnie chcieli, ja ich — nie. I rozumiesz dla czego gdyby kto przyszedł z pałacu zakaz przyjmowania...“

Zosia pocałowała ojca w czoło.

„Uspokój się tatku,“ rzekła, „proszę cię. Postąpiłeś godnie, święcie... Nie radabym w téj chwili z tąd ruszyć, ale — wola Boża! Słuchaj dobry ojcze — konie dysponuj na jutro, gospodarstwo zdaj na Obzorskiego — a my — jedźmy...“

„A! ty jesteś złota dziewczyna!“ zawołał zrywając się Ostójski, „tyś anioł, ja wiem i czuję twoją ofiarę... ale trzeba jechać. Jedźmy... jedźmy! dokąd?“

„Dokąd chcesz — mnie wszystko jedno. Jutro — dziś, jeśli można.“

Zosi łzy się kręciły, ale i ona oburzona była, krew młoda w niéj kipiała.

„Dokąd chcesz ojcze... byle prędko...“

Ojciec rzucił się ją całować i ściskać, popłakali się oboje. Na tę scenę weszła panna Klara zdumiona, trochę kwaśna.

„Cóż to za czułości?“ spytała...

Ostójskiemu humor nagle powrócił.

„Siostro Klaro,“ odezwał się „hora canonica, każ dać wódki i piernika... i niech ich... wezmą!“

„A ja o niczém nie wiém!“ z urazą szepnęła stara panna, „mnie trzymacie w dręczącéj nieświadomości przedmiotu waszych gniewów, rozczuleń i wesela? Godziż się to?“

Ostójski milczał, Zosia szła pocałunkiem przebłagać...

„Mnie zawsze los ten spotyka jakby obcą istotę“, westchnęła panna Klara.

(C. d. n.)

JÓZEF KORZENIOWSKI

I WYDAWNICTWO DZIEŁ JEGO.

(Ciąg dalszy.)

„Z owego czasu, oprócz tego romansu mojego nauczyciela, pamiętam jeszcze pożar Brodów, zapewne w r. 1803. i przechód armii sprzymierzonych przed bitwą pod Austerlitz. Pożar ten musiał być straszny, bo przypominam sobie dobrze łunę, która oświeciła w nocy cały nasz dziedziniec, a także i tę okoliczność, że parę familii znajomych moich rodziców, przyszło piechotą do nas w nocy, w odzieniu jakie kto mógł zachwycić, z płaczem i narzekaniem, które i teraz jeszcze w uszach się moich rozlega. Ratowali się biedni uciekając z miasta i straciwszy wszystko. W ósmym roku oddany byłem do Szkoły Normalnéj w Brodach. Był tam wówczas bogaty kupiec, handlujący kosami, woskiem i łojem, którego zielona Kamienica stała niedaleko od Kościoła, i stanowiła jeden bok uliczki wązkiéj, przegradzającéj plac wielki, gdzie późniéj stanął dom Bacha, od placu na którym był Kościół i probostwo. Kupiec ten zniemczały Krakowianin nazywał się Lacheta, miał żonę niemkę i trzy córki trochę odemnie starsze. U niego ulokowali mnie rodzice, żyjący z rodziną tą w stósunkach przyjacielskich. Z tamtąd chodziłem do pierwszéj klasy szkoły normalnéj, któréj rektorem czy dyrektorem, już niepamiętam tytułu jaki nosił, był niejaki pan Fontana, człowiek energiczny i surowy, którego baliśmy się niezmiernie, i którego potężny nos i górne żęby, jedne na drugich leżące, wystające tak, że ust dobrze



Most kolei żelaznéj w Wistruciu.

zamknąć niemógł, dotąd są mi pamiętne. Szkoła złożona z trzech klas, była w ówczas w ruinach klasztoru, na rynku miasta znajdującego się, na przeciw owego ogromnego budynku z arkadami gdzie były sklepy. Jaki to był klasztor już tego nie pamiętam. Wiem tylko, że jeden jego pawilon w ówczas gdzie były klasy i mieszkanie pana Fontany, był mniéj więcéj cały, a reszta murów w zupełnéj rozwalinie. Z owego czasu pamiętam upokorzenie miłości własnéj, któregom doznał i które mnie wiele łez i zdrowia kosztowało.

Ucząc się dobrze, zawsze chwalony i na pierwszém miejscu w szkole siedzący, zaprosiłem córki mojego gospodarza na egzamen, upewniając je, że dostanę order na szerokiéj żółtéj wstędze, z napisem z jednéj strony, a z drugiéj z ogromnym orłem austryackim. Tymczasem order dostał niejaki drymlas Łoziński, chłopak mający dwa razy tyle lat co ja, a ja... tylko pochwałę. Panny ze mnie żartowały, żem się przechwalał, a mnie serce się ściskało i płacz serdeczny porwał na niesprawiedliwość ludzką. Niestety! nie wiedziałem o tém, że późniéj tyle niesprawiedliwości ludzkich zniosę z uśmiechem tylko, że niejeden grot krytyki nie zaboli mnie wcale, że nawet potwarz odbije się od piersi, nie poczuwającéj się do winy, którą mi w oczy ciśnie złość i zła wiara. Order wszakże nie minął mnie na przyszły rok w klasie drugiéj, i pamiętam jak dziś, z jaką fantazyą prowadziłem ordynek do kościoła, a na szyi mojéj błyszczała ta żółta wstęga, na trzy palce szeroka, z wielką kokardą na piersiach, na któréj leżał tombakowy medal z orłem i napisem. Dziś błękitna wstęga i gwiazda brylantowa mniéj by mnie ucieszyła. W r. 1805 skończyłem tę szkołę normalną, gdzie w starych katalogach ksiądz Humnicki nazwisko moje znalazł. Jak daléj szła moja edukacya, to już pana nie interesuje i za granicę żądania jego wyrażonego w liście, wychodzi. Wspomnę jednak, żem tegoż roku 1806, po wakacyach zaraz wysłany został do Zbaraża, gdziem przez rok cały uczył się łaciny w infimie otwierającego się tamże gimnazyum pod księdzem Daszkiewiczem, bernardynem, którego twarz i dyscyplinę pamiętam dobrze, choć tylko parę razy za myłki w okupacyach na dłoni mojéj boleśnie legła. Wspominam zaś Zbaraż dla tego, że droga z Brodów do tego miasteczka wiodła przez Podkamień, z którego pan piszesz, a którego klasztor i jego położenie żywo niezmiernie zostały w mojéj pamięci, chociaż go tylko raz widziałem z blizka. Jestże on rzeczywiście tak pięknym i położenie jego tak malowniczem, jak mi się to wówczas wydało? Nie mogę zapomnieć téj wieży wysmukłéj, na stożkowatéj wznoszącéj się górze, tych murów tak kształtnych i tak symetrycznie rozłożonych; tego kościoła, którego chłód i uroczyste oświetlenie dotąd widzę, i który ozdobami swemi i wielkością przeniknął duszę marzącego już wówczas chłopca i zadziwił oczy jego przywykłe do małego i ubogiego kościółka w Jerozolimie Galicyjskiéj. Jeśli się nie mylę, są tam ciemne ołtarze, są na nich złocone figury, jest posadzka wykładana czarnym i białym marmurem. Nie pamiętam już kształtu i wielkości ołtarza i t. d.

Tu następuje opis szczegółowy kościoła i Brodów, który jako nie należący do przedmiotu wypuszczamy.

W chwili kiedy nasz Józef kończył szkołę w Brodach, przybył z Bukowiny do rodziców bezdzietny i bogaty kuzyn matki jego, i nakłonił że mu go na wychowanie oddano. W podróży przejeżdżał przyszły dramaturg przez Lwów, gdzie poraz pierwszy był na kilku reprezentacyach teatralnych — a jak sam opowiada, żadna późniejsza uciecha nie mogła wyrównać uciesze z kilku wieczorów w teatrze spędzonych. W Czerniowcach pod opieką brata ciotecznego przebył klasę drugą łacińską czyli Gramatykę, lecz gdy przez wpływy zniemczonéj żony krewnego, napisał list do rodziców w języku niemieckim, stary ojciec tak się oburzył, iż nie zważając na materyalne korzyści, syna z Czerniowic odebrał i do używającéj wówczas sławy szkoły krzemienieckiéj odesłał.

Szkołę w Krzemieńcu w ciągu lat jedynastu ukończył, utrzymując się przeważnie z lekcyi udzielanych młodszym uczniom; a gdy w r. 1818 kurator wileńskiego okręgu naukowego przy ostatecznym egzaminie spostrzegł niepospolite zdolności Józefa, zrobił mu propozycyę albo udać się kosztem skarbu na uniwersytet w Wilnie, albo zająć się wychowaniem pełnego nadziei syna generała Wincentego Krasińskiego, późniejszego genialnego poety. Nasz Józef wybrał propozycyę ostatnią. Na ten wybór wpływało nietylko hojne wynagrodzenie z którego mógł być pomocnym biednym rodzicom, ale i to, iż Warszawa, ognisko ruchu literackiego, dawała mu możność zrobienia znajomości z głośnemi wówczas pisarzami i tym sposobem wstąpienia w zawód literacki.

Przy zajęciu tém nie długo pozostał, gdyż zdarzyło mu się miejsce do dozoru i ułożenia biblioteki ordynacyi Zamojskich, które z każdego względu przekładał. W tym właśnie czasie poznał pannę Monikę Vogel, córkę znakomitego akwarelisty Zygmunta Vogel, niegdyś rysownika gabinetowego króla Stanisława Augusta. Całą siłą młodego uczucia pokochał ją i uczucie to do końca życia przechował. Listy jego pozostałe z tych czasów świadczą najlepiéj o czystości i szlachetności Józefa.

W jednym z nich czytamy: „Czuję, mocno, przekonany jestem, że będziesz najlepszą matką; czuję jak dzieci twoje kochać będę, oby nam Bóg tylko tego szczęścia nie odmówił! Dom nasz będzie takim, jaką ty jesteś; będzie to świątynia, w któréj wszystko to, co w sercu jest najszlachetniejszego, znajdzie przybytek.

„Wielu jest ludzi, którzy tego wyobrażenia nawet nie mają; żal mi ich że tak nisko stoją. Dla jednych dom jest miejscem, w którem śpią, jedzą i przed niepogodą się chronią — dla drugich miejscem roztargnienia, dla tego ozdobnem, żeby drudzy to widzieli, dla tego obszernem, żeby wielu obcych pomieścić można. Ja na to inaczéj poglądam, ty czujesz to tak jak ja myślę; dla tego różni od wielu ludzi, szczęśliwsi od wielu będziemy."

Przy tych uczuciach jakie wówczas młodzieńca ożywiały, nic dziwnego, że życie późniejsze w ognisku domowem, upływało szczęśliwie. Dwudziesto-kilkoletni Józef przyjąwszy na się obowiązki, zmuszony był pomyśleć o ustaleniu losu przyszłéj rodzinie i dla tego zwrócił się ku służbie publicznéj. Wakająca katedra literatury w Krzemieńcu dała

mu pole ubiegania się o urząd publiczny. Popierany przez protektora literatury i sztuk pana Puław, przesłał do rady uniwersytetu wileńskiego rozprawę konkursową, w skutek której dnia 1 Września 1823 roku utęskniona nominacyę otrzymał.

Sumiennie i gorliwie pełniąc obowiązki przebył w Krzemieńcu lat dziesięć, a gdy w r. 1833 liceum wołyńskie bezwzględu na zasługi położone, przemienione zostało na moskiewski uniwersytet św. Włodzimierza w Kijowie bez katedry literatury polskiéj, Korzeniowski mianowany został profesorem języka łacińskiego i rzymskich starożytności.

W Kijowie przebywał aż do roku 1838. O całym tym okresie czasu wspomina znany pisarz Antoni Nowosielski. Już wtenczas, jako utalentowany pracownik na polu literatury i jako znakomity przewodnik młodzieży potrafił sobie imię pozyskać. W tym to czasie zawiązał Józef Korzeniowski stosunki z głośniejszemi imionami w kraju, a jako dowód że i materyalne jego położenie było pomyślne, posłużyć może ta okoliczność, że wybudował sobie w Kijowie domek wystarczający na pomieszczenie licznéj rodziny.

W roku 1831 przeniesiony został do Charkowa w charakterze dyrektora gimnazyum. W lat sześć potém, gdy w r. 1844 odwiedził Warszawę, zachęcony przyjaznem przyjęciem i namowami ziomków począł się starać o posadę dyrektora gimnazyum w Warszawie, i takową r. 1846 otrzymał. Niedługo jednak i w tym nowym urzędzie pozostał. Zwierzchność oceniając zdatność i pracę Korzeniowskiego, posunęła go na urząd wizytatora szkół królestwa polskiego. Przy reformach w administracyi i oświeceniu jakie rząd przedsięwziął w pierwszych latach przeszłego dziesiątka, Korzeniowski mianowany został dyrektorem wydziału oświecenia w b. komisyi rządowéj wyznań i oświecenia publicznego. Przy tych obowiązkach, wyjeżdżając tylko czasowo dla słabości zdrowia za granicę pozostał aż do r. 1863. W tym właśnie roku uwolniony od obowiązków wyjechał do Drezna i tu, 12 Września na rękach żony i dzieci życia dokonał.

Przebiegłszy w krótkości cały zawód publiczny Korzeniowskiego, rzućmy teraz ogólny nań pogląd. Prócz bardzo wybitnych zdolności, czy to na polu pedagogicznym, czy jako urzędnika w wydziale oświecenia, cechowała go zawsze sumienność i gorliwość w wypełnianiu obowiązków. Młodzież kijowska, charkowska i warszawska miała dla niego nie tylko głęboki szacunek, ale co trudniejsze do zdobycia miłość synowską. Piszący to krótkie wspomnienie, przypomina sobie te chwile kiedy Korzeniowski jako wizytator zwiedzał szkoły, niebędące wówczas w świetnym stanie. W tém charakterze odznaczał się on bardzo trafnemi uwagami o potrzebach szkół elementarnych i średnich, i niejednokrotnie walczył przeciw zaniedbującym się lub niezdolnym kierownikom młodzieży.

Najwybitniejszym jednak jego działaniem w zawodzie publicznym są prace podjęte w ostatnich latach jako dyrektora wydziału oświecenia. Obszerny jego memoryał o stanie zakładów naukowych i o sposobie zreformowania ich, ustawa edukacyjna, motywa do téj ustawy, któréj wszystkie prawie części sam jeden ułożył, pozostaną niezatartemi świadectwami jego pracy i wielkich zdolności jako urzędnika publicznego.

* * *

Z małym wyjątkiem prawie zawsze się zdarza że talent mający w przyszłości zabłysnąć, już w wieku młodzieńczym, a często i dziecinnym zarodki swe okazuje. I przyszły zawód autorski Korzeniowskiego już w pracach studenckich się zdradzał. Za pobytu jeszcze w Krzemieńcu pisywał Ody, w formie Jana Baptysty Rousseau i Listy poetyczne, które wstęp mu do salonów wyjednały i uwagę publiczności na autora zwróciły.

Cztery pierwsze lata po wyjeździe z Krzemieńca poświęcił Korzeniowski studyom naukowym, które biblioteka Ordynacyi i uczeni Warszawscy literaci bardzo ułatwiali. Z téj to epoki znane są tylko List poetyczny do ks. Aloizego Osińskiego i List do Franciszka Morawskiego w którym mu wymawia, że prac swych nie drukuje. Znajomość języka niemieckiego zwróciła wówczas uwagę Józefa na prace poetyczne tego narodu; głównie zaś Schiller nie wychodził z rąk jego. Nie śmiał on wprawdzie wystąpić jawnie przeciw otaczającym go koryfeuszom klasycyzmy, — owszem tłomaczył nawet Zoirę Woltera i Pory roku Thomsona, ale w skrytości całą duszą skłaniał się ku nowemu kierunkowi.

Przed samym wyjazdem z Warszawy ukształciwszy poprzednio smak swój na wzorach Szekspira i Schillera, ukończył pierwszą dramatyczną próbę swoją wierszem nierymowanym pod tytułem Klara. Z pracą swoją tylko przed jednym Kazimierzem Brodzińskim się zdradził, gdyż owi klasyczni mistrze w sztuce rymowania dalecy od niego byli.

Pierwsze chwile pobytu w Krzemieńcu poświęcił pracy nad układem Kursu Poezyi, który nieco późniéj przez Radę wychowania publicznego w Warszawie za podręczne dziełko dla szkół przyznane zostało. Pomimo téj pracy równocześnie napisał dramat w pięciu aktach, p. t. Aniela i ten w r. 1826. wraz z Klarą w Poczajowie wydał. W krótce potém ukazał się Mnich i opowiadanie wierszem pod tytułem Fragment; następnie Dymitr i Marya, Piękna kobieta drukowane w Kijowie w r. 1838. wespół z Anielą i Klarą.

Próby te dramatyczne, jakkolwiek z wielu względów mające wielką wartość, były czytywane, ale nie dały jeszcze autorowi téj wziętości, jakiéj po pracach dokonanych miał się prawo spodziewać. Brak teatrów a w końcu i smak publiczności zwracał się ku innemu kierunkowi. Jednakże dramat p. t. Piąty Akt wystawiony na scenie lwowskiéj wielki przyklask publiczności pozyskał. W Warszawie zaś upadł. Pod wpływem tego zajęcia publiczności lwowskiéj napisał dla niéj cztero-aktowy dramat Dziewczyna i Dama, który, jak i pierwszy, z powodzeniem odegrano.

Pierwszą pracę którą pomimo niechęci dyrekcyi sympatycznie publiczność warszawska przyjęła był dramat: Umarli i żywi. Ta okoliczność zwróciła uwagę dyrekcyi na prace poprzednie Korzeniowskiego, tak że w ciągu lat paru przedstawiano komedye: Fabrykant, Panna i mężatka i Żydzi. Odtąd powodzenie Korzeniowskiego usta-

lone było — teatra wszystkie mniejsze i większe każdą nową pracę jego chwytały.

Oto jest szereg dramatów i komedyi które w Charkowie napisane były: 1) Umarli i żywi, 2) Karpaccy górale, 3) Stary mąż, 4) Żydzi, 5) Fabrykant, 6) Młoda wdowa, 7) Zaręczyny aktorki, 8) Mąż i artysta, 9) Okno na pierwszém piętrze, 10) Izabella d'Ayamonte, 11) Pani Kasztelanowa, 12) Andrzéj Batory, 13) Pośredniczka, 14) Doktor medycyny, 15) Panna mężatka, 16) Stacya pocztowa w Hulczy, 17) Pierwéj mama.

W tymże okresie Korzeniowski począł sił swych probować na polu powieści obyczajowéj. Pierwsze próby „Dobrze i to wiedzieć na te ciężkie czasy, Podziękowanie, Spekulant i Kollokacya, szybko po kraju się rozbiegły i chciwie czytywane były.

Pobyt w Warszawie równie był obfity w płody dramatyczne i powieściowe. Tu powstały: Wędrówki oryginała, Emeryt, w komedyach Majster i czeladnik, Stara elegantka, Okrężne, Przyjaciółki, Wojna z kobietą, Dwaj mężowie i t. d. Gdy jednak dyrekcya teatru warszawskiego niełaskawie na te utwory patrzyła, zwrócił Korzeniowski całą swą pracę ku powieści. Ukazał się Tadeusz Bezimienny, po nim nastąpił Garbaty, jedna z najlepszych powieści, Wdowiec, Krewni, Szczęście za górami, Wyprawa po żonę i wiele innych urywków drobnych.

We Włoszech napisał Podróżomanię, na konkursie lwowskim otrzymał premium za jedną z najlepszych komedyi Wąs i peruka, a drugie dwa na konkursach warszawskich za Konkurent i mąż i Majątek albo imię.

Brak nam miejsca na wyliczenie wszystkich utworów utalentowanego i bardzo płodnego pisarza, poprzestajemy więc tylko na wymienieniu, że prac dramatycznych pozostało po nim przeszło pięćdziesiąt, powieści większych piętnaście a mniejszych dwadzieścia.

Do najcelniejszych komedyi liczą się: Wąs i peruka, Plotkarz, Podróżomania i Stary mąż. Między dramatami celują: Mnich, Karpaccy górale, Piękna kobieta i Andrzéj Batory.

(Dokończ. nast.)

WSPOMNIENIE

(Z HEINEGO)

Do muzyki Michała Hertza.

Głos z przeszłości, z zapomnienia,
Znów po marzeń pływa fali!
Zapomniane już wspomnienia,
Płyną z falą znów z oddali.

Wiosna, miłość, uśmiech doli,
Mkną tak szybko, więdną snadno;
Lecz co boli, nie przeboli,
Nie okupisz ceną żadną.

Bo wspomnienie w duszy na dnie,
Jako kwiecie wschodniéj róży:
Róża zwiędnie, liść opadnie,
Ale zapach trwa w nim dłużéj.

Poznań, 15 Kwietnia 1871.

W. Hł.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

O Inteligencyi Zwierząt

przez

Dra. C. F.

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 15.)

Wiele przykładów podobnych popiera opinię wyżéj wyrażoną. Zacytowany autor o psach opawiada, że pewien kapitalista w Pembury miał buldoga, który wyuczył się chwytać zające napędzone przez psiarnie strzelców z okolicy. Zwykle złapawszy przynosił ofiarę swemu panu; ale kiedy myśliwi się zbliżyli, pan nieuważając złapanego zająca za swoją własność, oddawał do strzelcom. Buldog z niechęcią i zazdrością patrzał na ten akt grzeczności i razu pewnego na następujący czyn się zdecydował. W chwili kiedy głos psiarni dał się słyszeć w górach, buldog po cichu dom opuścił. W pół godziny gospodyni siedząca w oknie spostrzegła go wracającego i rozmaitemi giestami namawiającego ażeby szła za nim. Gospodyni zastósowała się do tych niemych zaprosin i przyszedłszy do gęstych krzaków spostrzegła w nich nieżywego zająca. Pies nietknął go, ale gdy spostrzegł że pani podniosłszy z ziemi zaniosła zdobycz do domu, niemógł powstrzymać się od nadzwyczajnych oznak radości. Tą razą zając był dla domu. Strzelcy odeszli z próżnemi rękoma, co tak ucieszyło buldoga, że przez pół godziny szczekaniem i skakaniem dawał oznaki swego zadowolnienia. „Jesteście oszukani moi panowie," zdawał się mówić, „szukajcie dobrze a i wy mieć będziecie."

Mały pies szkocki, należący do pewnego oficera armii w Bombay, wynalazł sposób dowcipny zabijania wężów. Kiedy spostrzegł pełznącego, chwytał go nagle za ogon i biegł z nim przez zarośla i kamienie. Szybkość biegu niepozwalała nieprzyjacielowi obrócić się i w ten sposób ginął podarłszy głowę na ostrym żwirze.

Inteligencya psa objawia się w tenczas najwięcéj, kiedy ma poczucie niebezpieczeństwa, które mu dotąd znane być nie mogło. Tak naprzykład w wypadku następującym: Pewien rekonwalescent wyjechał na spacer konno; koń przelękniony zrzucił jeźdzca z siodła i tylko noga w strzemieniu pozostała. Koń się rozbiegał i włókł za sobą po kamieniach jeźdzca. Prócz psa starego nikogo w pobliżu niebyło; ale gdy pies spostrzegł niebezpieczeństwo, rzucił się z przodu na cugle i w miejscu konia tak długo trzymał, aż nim jeździec nogi ze strzemienia nie wydobył.

Podobny wypadek opowiada Walter-Scott o psie szkockim, który uratował służącą od spalenia się. Ogien od komina zatlił suknie spiącéj przed nim dziewczyny — pożerał zwolna materyę nie paląc się płomieniem. Pies domowy stojąc na swéj straży nocnéj, spostrzegł przez okno niebezpieczeństwo grożące i nie tracąc chwili wbiegł do pokoju pana, obudził go i na miejsce zagrożone przyprowadził.

Niejaki pan Prokter z Lydd wpadł przypadkiem do rzeki głębokiéj, stracił przytomność i począł tonąć. Pies jego stojąc na brzegu, wyciem przywoływał pomocy — ale nikt się nie zbliżał. Tonący już się dwa razy zanurzył, kiedy nagle pies się rzuca i stara zębami uchwycić za kołnierz tonącego; ale na nieszczęście zęby oslizgiwały się o kołnierz guttaperkowy. Prokter zanurzył się po raz ostatni i w téj chwili właśnie usłyszał głos wołający: „Chwyć ręką za ogon psa!“ Usłuchał rady a pies prawie martwego pana na brzeg wydostał. Późniéj ile razy Prokter szedł do wody, pies go zwykle poprzedzał sądując drogę.

Historya psów podaje nam tysiączne przykłady rozumowania, dowodząc że w ich mózgu odbywać się musi pewien proces intelektualny. Widziano w Anglii charcicę szukającą karmicielki dla dzieci swoich, gdyż własny pokarm dla zbyt wielkiéj liczby potomstwa niewystarczał. Ileż spotykamy u tych zwierząt przykładów przywiązania? Opowiadają, że Napoleon I. był bardzo wzruszony widząc na polu bitwy pod Bassano psa strzegącego martwe ciało swego pana. Dzienniki amerykańskie donoszą, że w czasie ostatniéj wojny stanów, pies przyprowadził wdowę po poruczniku Pfieff na miejsce gdzie mąż jéj zabitym został. Walter-Scott uwiecznił psa, który czuwał nad trupem swego pana turysty przez trzy miesiące i o tyle tylko się oddalał, o ile zaspokojenie głodu tego wymagało.

Cóż powiemy o psie pasterskim, który przez miłość dla swego pana i przez poczucie obowiązku strzeże owce w polu? Niejaki M. Meyrik opowiada, że widział w Szkocyi psa strzegącego dnie całe stado owiec bez pomocy pasterza. Marudérów lub oddalających się od stada zaganiał w téj chwili na miejsce wyznaczone, a kiedy właściciel mieszkający w odległości $1\frac{1}{2}$ kilometra, dał znak gwizdaniem, pies przypędzał stado do domu.

Z któregokolwiek bądź punktu rozważać będziemy zdolności intelektualne psów, zauważymy, że się bardzo zbliżają do ludzkich i że uczucia, jak przywiązanie, szczerość, odwaga, pamięć dobrodziejstwa, silniéj się czasem u nich jak u ludzi manifestują.

Widziano przykłady postępków psich, które nawet ekscentryczne czyny ludzkie naśladowały. Dwa lata temu pisały dzienniki francuzkie o psie który wskutek złego traktowania pana, samowolnie się zabił skacząc do wody, pożegnawszy się wprzód wyciem płaczliwem z okrutnym zwierzchnikiem.

Dziennik paryski Droit opisał śmierć tragiczną psa nie lubionego w domu. Zbiedzony i smutny od dni kilku, przybiegł nad brzeg kanału Saint-Martin w Paryżu, i w obec wielu świadków rzucił się do wody by w niéj śmierć znaleść. Montaigne przytacza dwa przykłady podobne. Znany był powszechnie pies Mac Dowalda Stuarta, który w długiéj chorobie swego pana strzegł łoża jego, a po śmierci doszedł do takiéj rozpaczy, że położywszy się przy próżnem już łóżku w kilkanaście godzin życie zakończył.

Słusznie mówił Franklin, że człowiek ma tylko trzech przyjaciół wiernych: starego psa, starą żonę i brzęczącą monetę. A jednakże pies, ten najwierniejszy przyjaciel jest często ofiarą brutalnego i barbarzyńskiego traktowania.

Niektóre psy, tak jak i ludzie, są lepsze i łagodniejsze od innych. W dziele p. Blatin bardzo pięknie opracowanem i poświęconem zwierzętom domowym, czytamy między innemi przykład haniebnego barbarzyństwa i szczytnego przebaczenia. Pewien człowiek przyprowadziwszy psa swego nad brzeg kanału, uwiązał mu kamień u szyi i rzucił do wody. Biedne zwierzę usiłowało kamień odczepić i zarazem od zanurzenia się uchronić. Po wielu trudach udało mu się to nareszcie; płynie więc i dostaje się do brzegu. Ale w téj chwili właśnie właściciel uderza go silnie kijem w głowę. Pies na w pół nieżywy zanurza się znowu, pan zaś jego straciwszy przy uderzeniu równowagę, wpada do wody. Na krzyk o pomoc nikt nie przybywa..., już tonie. Na szczęście zjawia się w téj chwili niewidzialny wybawca, chwyta za kołnierz i na brzeg wyciąga — był to jego pies skrwawiony. (C. d. n.)

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

Jeden z najzasłużeńszych w literaturze naszéj A. E. Odyniec raczył przyrzec Sobótce swoje Wspomnienia Poetyczne, w których opisane być mają stosunki łączące autora z poetami naszymi, począwszy od ławki szkólnéj aż do chwili obecnéj. We Wspomniach tych najwięcéj ma być kart poświęconych Mickiewiczowi, — życiorysem którego, czyli raczéj zbieraniem materyałów do życiorysu, żywo się dziś zajmują. Świeże wydanie listów Adama, prześliczne Wspomnienie A. E. Odyńca w Kronice Rodzinnéj, w końcu prelekcye Wincentego Pola dały już bogaty materyał, z któ-

rego przyszły biograf dużo korzystać będzie. Słyszeliśmy także że i u nas p. W. Bełza zbierał wiadomości i materyały tyczące się pobytu Adama w Księstwie. Ale oto spotykamy w Marcowym zeszycie Biblioteki W. kilka prześlicznych kart poświęcowych opisowi pobytu Mickiewicza we Włoszech. Pan A. E. Odyniec radził nam przedrukowanie mało znanych w Księstwie Listów z Kroniki, gdy jednak dla ram pisma naszego, była to praca nieco za obszerna, postanowiliśmy podać czytelnikom kilka kartek równie u nas prawie nieznanych, a pochodzących z opowiadań opisanéj w Panu Tadeuszu dziewicy, dziś już zgrzybiałéj staruszki. Tak jak kronikarz Biblioteki opowiadanie to spisał, my w całości czytelnikom dajemy.

* * *

Każdy pojmie jak byliśmy upragnieni posłyszeć choćby kilka drobnych szczegółów i o wielkim poecie, z ust téj, któréj obraz odbił się tak silnie w jego potężnym geniuszu. I jak tu przystąpić do rzeczy? Jak tu wspomnieć o tak dawno minionych czasach, o chwilach tak drogich jéj sercu? Jak tu wysnuć z tego serca, ową przędzę pamiątek, tak głęboko chowanych, że każde zbyt silne poruszenie tego wątku, mogło boleśnie rozkrwawić nie zabliźnione rany? Sama Ewunia przyszła nam w pomoc. Pojęła ona, że nie próżna ciekawość skłania nas do tych badań, tak niedyskretnych, gdyby ich nie usprawiedliwiało prawdziwe i gorące współczucie. Inaczéj wprawdzie świat przywykł ją nazywać, my przecież zostawiemy jéj imię Ewuni, jest to bowiem drugie jéj imię, a przytém, była ona Ewunią w sercu i pamięci Adama, niechże nią i dla nas pozostanie.

Początek był trudny, jak to bywa z każdym początkiem.

„Nie będzież to śmiesznèm“, mówiła do nas, „wydobywać z przeszłości kwiaty, nieodpowiednie siwym włosom?“

(Ewunia ma włosy miękkie jak jedwab, a bieluchne jak puszek łabędzi.)

Potrafiliśmy zwolna przekonać ją, że te kwiaty nie należą do niéj saméj, że naród ma do nich niezaprzeczone prawo. Zresztą uczucie to, tak było czyste, tak idealne, że można śmiało ukazać je światu przed oczy.

Dzięki nieocenionéj dla nas łasce Ewuni, doznaliśmy prawdziwéj radości, słysząc nietylko wiele szczegółów o Adamie, ale niemniéj i o innych znakomitych osobistościach wieku teraźniejszego. Ojciec Ewuni był jednym z tych magnatów polskich dawnéj daty, którzy przebywając za granicą, żyli jakby u siebie w kraju. Oni to utrzymywali owo przysłowie: co Polak to pan, przysłowie które dziś zastosować można do Anglików. Hrabia S... do staropolskiéj gościnności, łączył smak artystycznie wykształcony i głęboką erudycyę; gdziekolwiek przebywał, progi jego domu otwarte były na oścież, tak dla swoich jak i dla obcych, z tą jednak różnicą, że jeśli z pomiędzy cudzoziemców znajdowali tylko przystęp ludzie uznanéj nauki i sławy, co do ziomków zato, dosyć było zwać się Polakiem, aby znaleźć w nich gościnne i serdeczne przyjęcie, a co więcéj czynną pomoc i przytułek w razie potrzeby.

Hrabina S. równie jak mąż wykształcona, posiadała w wysokim stopniu ten dar właściwy wyższym kobietom, przyciągania ludzi do domu swego, i zamieniania w miłych gości tych nawet, którzyby przy innèm, mniéj ciepłèm ognisku, nie umieli wydobyć z siebie tych skarbów rozumu i wyobraźni, jakiemi ożywiali jéj salon. Była to poważna matrona polska, i uprzejma pani domu w całèm znaczeniu słowa.

Młodziuchna i urocza jak kwiat Ewunia, jedyna córka hrabstwa, ukochana i wypielęgnowana jak oko w głowie, była téż zapewne nie małą ponętą dla młodzieży, garnącéj się do tego domu. Oprócz niéj była tam jeszcze starsza o lat kilka towarzyszka, urocza a zarazem poważna Marcellina, która w lat kilka potém zamknęła się w klasztorze.

W owym to magnackim domu w Rzymie, przy ulicy Mercede „gwarno i tłumnie sejmikowała bracia szlachta“, jak się wyraża Mickiewicz w liście pisanym do Statlera. Tu jakby w kalejdoskopie widzimy przesuwające się żywe postacie tak chlubnie odbite w dziejach literatury naszéj. Tu wieszczy Adam w pełni twórczéj potęgi, wylewa z piersi słowa płomieniste jak lawa Wezuwiuszu, przy podźwięku piosenki o Filonie. Tu siedmnastoletni Zygmunt, poważny już i zadumany, porwany jednak ogólnym prądem, odzyskuje młodzieńczą swobodę, i wyrzuca słowa jak race, pełne ognia i życia. Tu nasz A. Edward Odyniec, towarzysz i prawdziwy przyjaciel Adama, obok téj promienistéj postaci, umie jednak świecić właściwym sobie blaskiem. Tu Henryk Rzewuski w chwili najwyższego rozkwitu swéj powieściopisarskiéj werwy, powtarza owe urocze obrazki z przeszłości, które ujęte piórem, miały w krótce rozgłosić jego imie. Tu Garczyński, ten bratni duch Adama, ogrzany jego geniuszem, dobywa z piersi jak skowronek na wiosnę, najpierwszą pieśń swoją. Tu pojawia się młodziuchny Juliusz, bujający na skrzydłach fantazyi. Miłoż to choć myślą spocząć przy tém ognisku, przy którém przewinęło się niemal to wszystko, co rzuca tak wspaniały blask na literaturę naszą, w oczach ostatniego jéj odrodzenia.

Hrabia z żoną i córką przebywali we Włoszech od r. 1827. Powodem ich podróży było nadzwyczaj wątłe zdrowie jedynaczki, zagrożonéj chorobą piersiową. Zaczém przybyli do Rzymu, gdzie dom ich stał się niemal historycznym, przez kilka lat przejeżdżali się z miejsca na miejsce. Stosownie do rady lekarzy bawili kolejno to w Pizie, to we Florencyi, to w Liwurno, to na wyspie Elbie, a nawet i w Korsyce. Łatwo pojąć, o ile taka podróż pod okiem światłych rodziców, musiała wpłynąć na rozwijanie się zdolności młodziuchnéj Ewuni, obdarzonéj z natury bogatą wyobraźnią, bystrém pojęciem, wrodzonym zmysłem artystycznym, a do tego zadziwiającą pamięcią, która przetrwała do dziś dnia w całéj sile.

Z pobytu swego w Liwurno, wspominała nam znajomość z Lamartinem. Willa państwa S. dotykała willi, którą zajmował poeta z żoną i kilkuletnią córeczką Julią. W krótkim czasie zbliżyły się do siebie, dwie sąsiadujące rodziny. Lamartine upojony własną sławą, nie miał w obejściu téj nadzwyczajnéj łatwości, właściwéj Francuzom. Pani Lamartine Angielka sztywniejsza była jeszcze od męża. Najwięcéj przypadła do serca Ewuni, mała Julia, tak gorąco ukochana, a tak gorzko opłakiwana przez ojca, która z tylu względów

przypomina nam Urszulkę Kochanowską. Cudnie piękne było to dziecko, pełne idealnego uroku, ale trawione już wewnętrzną chorobą, dla której rodzice w krótce potém zabrali ją na Wschód, zkąd przywieźli martwe jéj zwłoki.

Lamartine od dziesięciu lat był już ożeniony z nadzwyczaj bogatą Angielką. Spotkali się oboje we Florencyi, gdzie poeta przebywał jako sekretarz ambasady francuzkiéj. Młoda egzaltowana miss, czytała z zapałem Harmonie poetyczne, a te tak rozkołysały jéj wyobraźnią, że postanowiła bądź co bądź, poznać czarodzieja, którego słowo tak cudowny wywierało urok. Nastąpiło to w krótce. Lamartine rozmarzony jeszcze wspomnieniem zmarłéj niedawno Elwiry, nie patrzał nawet na Angielkę. Uczucie jéj tymczasem wzrastało z coraz to większą siłą. Zdobyła się wreszcie na krok stanowczy: napisała list mniéj więcéj w tych słowach: „Czytałam poezye pańskie. Mówisz, że niema serca, któreby uderzało harmonijnie z twojém: otóż moje tak właśnie uderza. Mówisz, że niema duszy, którąby ci umiała odpowiedzieć: otóż moja odpowie ci godnie!“ Poeta nie miał siły opierać się naleganiu. Ślub nastąpił w niedługim czasie.

Mówiąc o Lamartinie, przypominamy tu inne uczucie jakie obudził i to w sercu Polki. Było to uczucie zupełnie idealne, poeta bowiem oddawna był żonaty. Oczarowana nim osoba, nie mogła liczyć na jego rękę. Była nią panna Eliza Michałowska, zamieszkała z matką w Wiedniu. Czytanie poezyi Lamartina, w dziwny sposób wyegzaltowało jéj wyobraźnią, przysposobioną do chorobliwych uniesień w skutek niedawnéj śmierci ojca. Dnia jednego pod wpływem zachwytu napisała list do poety, wyrażając cześć swoją w najgorętszych wyrazach. Naiwny ten objaw uwielbienia, trafił do serca Lamartinowi. Odpisał jéj natychmiast, i przysłał wiersz umyślnie dla niéj utworzony, jeden z najrzewniejszych jakie zostawił. Łatwo pojąć radość Elizy: większa jeszcze radość czekała ją w lat kilka potém, kiedy poeta wracając ze Wschodu, mimo boleści po skonie córki, nie przepomniał wdzięczności ku młodéj Polce. Przejeżdżając przez Wiedeń, dowiedział się gdzie mieszka, odwiedził ją, a na pamiątkę zostawił jéj ślicznego pieska.

Panna Eliza M... żyje dotąd i mieszka stale w Wiedniu, gdzie została kanoniczką. Od téj chwili nie widziała nigdy Lamartina, ale jak można się domyśleć pochłaniała każde słowo wybiegłe z pod serca poety. Ideał karmiony od młodu wystarczył jéj na życie.

(C. d. n.)

WISTRUĆ.
(INSTERBURG.)

(Z ryciną.)

Insterburg miasto powiatowe w Prusach Wschodnich, przy kolei żelaznéj z Królewca do granicy Królestwa Polskiego, ma sąd apelacyjny, izbę handlową, zamek, dwa kościoły ewangielickie, gimnazyum i szkołę realną, więzienie, fabryki, cukru, wyrobów wełnianych, garbarnie. Zamek Insterburgski wybudowany był jeszcze przez Zakon Niemiecki. W r. 1583 Insterburg został miastem. W roku 1756 w pobliżu miastu Prusacy pobici zostali przez Moskali. Ludność otaczająca miasto jest w części Litewska, w części Niemiecka — w niedalekiéj odległości zamieszkują Mazury.

Most kolei żelaznéj, którego rycinę załączamy, leży na rzece Inster.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Przyjazd p. Rychtera, a z nim w prowadzenie na scenę Kupca Weneckiego, Skąpca i Radziwiłł gościem, są to fakta w życiu teatru poznańskiego takiéj doniosłości, że się z niemi porachować jest koniecznością. Miesiąc ostatni będzie epoką dla artystów i publiczności, epoką która na długo powinna zostać w pamięci wszystkich. Tyle naraz arcydzieł oddanych talentem pierwszorzędnego artysty, nawet w teatrach po których więcéj możnaby się spodziewać, rzadko spotyka. Niechże p. Rychter, Dyrekcya i całe Towarzystwo pana Nowakowskiego, przyjmą podziękowanie za starania około pomyślności i rozwijania się sceny naszéj i niech nadal w tym kierunku idą, a w uznaniu publiczności nagrodę mieć będą.

Poświęciliśmy już poprzednio panu Rychterowi słów kilka wykazujących cechy wybitne jego wysokiego talentu; dziś przechodzimy do szczegółów. W Kupcu Weneckim Szekspira, w roli Shyloka pan Rychter zaprzeczył powszechnemu mniemaniu że tylko w rolach dobroduszniych, staruszków i kontuszowych zdolny jest wznieść się na wyżyny artystyczne. Rola Shyloka na wskroś tragiczna odgrzebała zapomniane a przepowiadane przez pana Meciszewskiego jeszcze w Krakowie zdolności do ról z tragedyi Szekspira i Szyllera. Położenie tylko sceny Warszawskiéj, żyjącéj pod obuchem cenzury, niepozwoliło sztuk tych wprowadzać, a tém samem nie dało pola zdolności tragików rozwinąć. Żyd w kupcu weneckim, taki jakim go mieć chciał Szekspir, to typ reprezentujący całą rasę żyjącą wśród ogólnéj nienawiści i walczącą o słusznie jéj należne prawa. Takim go chciał mieć nieśmiertelny autor i takim go oddał p. Rychter. W każdem słowie w każdem ruchu, w każdem spojrzeniu malowało się głębokie uczucie a z drugiéj strony, panowanie nad niem. Nienawiść, chęć zemsty, ironia, w końcu zmięszana z tém miłość dla dziecka, wszystkie te uczucia miotały widzem, który jak niewolnik szedł za grą artysty. W czwartym akcie p. Rychter doszedł szczytu. Przy sądzie, kiedy chodziło o wyrznięcie kawała mięsa z ciała dłużnika, potrzeba było wznieść się w bardzo wysokie krainy artyzmu, ażeby nie stać się śmiesznym. Du sublime au redicul il n'y a q'un pas. Groza przejmowała na widok wyrafinowanéj zemsty Shyloka — litość dla ofiary, a kiedy położenia stały się odwrote i uczucia widza ze zmianą tą w jednéj chwili zmieniły. Jeżeliby nam wolno było jednak wrażenia wszystkie skonstatować, to powiedzielibyśmy, że w głosie nie było stopniowania — że przy końcu nie doszedł on w stósunku początku siły potrzebnéj. O ile wiemy zmęczenie fizyczne grą poprzednią na to przeważnie wpłynęło.

Radziwiłł Gościem, anegdota dramatyczna dla sceny poznańskiéj przez J. I. Kraszewskiego napisana, doznała przyjęcia jakiegośmy

dawno już nie widzieli. Imię najzasłużeńszego w literaturze naszéj pisarza i czcigodnego obywatela było jedyną reklamą dla sztuki nieznanéj dotąd. Publiczność bardzo licznie zapełniła teatr, chcąc tem zamanifestować uznanie talentu i zasługi autora. Brak nam miejsca na powtórzenie treści téj nowéj kreacyi jego; poprzestaniemy więc tylko na skreśleniu ogólnego charakteru sztuki. — Rzecz dzieje się za czasów Radziwiłła Panie Kochanku. To też Radziwiłł i w sporze z nim będący szlachcic Korjatowicz są głównemi osobami komedyi. Na te dwa typy głównie uwagę autor zwrócił i mianowicie Korjatowicza oddał z nieporównaną prawdą i wdziękiem. Poczucie w nim choć na zagrodzie równości wojewodzie, zawziętość i gościnność mająca pobudkę w dumie rodowéj i posunięta aż do postawienia na kartę całéj przyszłości, to typ prawdziwy i nie tylko w wiekach przeszłych ale i w naszym często spotykany.

Na pojęcie historyczne charakteru Radziwiłła Panie Kochanku dotąd pisarze nasi zgodzić się nie mogą. Jedni go widzą trywialnym i fantastycznym, inni dopatrują w ulubieńcu szlachty czegoś poważniejszego i głębszego. Powiedzielibyśmy że w sztuce „Radziwiłł gościem" charakter jego był pośredni między dwoma wyżéj wymienionemi ostatecznościami i kto wie czy nie najprawdziwszy.

Łatwo się każdy domyśli, że w grze palma pierwszeństwa oddana była p. Rychterowi grającemu szlachcica Korjatowicza. Gdybyśmy chcieli nawet wyszukiwać zarzuty przeciw owemu butnemu a serdecznemu szlachcicowi, nie bylibyśmy w stanie. Czy to scena w karczmie z Radziwiłłem, czy to rwanie się do szabli, czy to przyjęcie gościa w chudobie swojéj, wszystko od początku do końca malowało mistrzowsko typ butny szlachcica z przeszłości naszéj. W literaturze pamiętnikowéj mamy pana Paska, w dramatycznéj Korjatowicza. Jest w tych dwóch postaciach coś wspólnego, co najlepiéj służyć może za dowód wartości artystycznéj Korjatowicza — autor bowiem potrafił uchwycić i wlać w typ swój te cechy stanu szlacheckiego, których przedstawicielem pan Pasek być nigdy nie przestanie. Gra p. Rychtera więcéj nas tym razem porwała niż w Zemście Fredry. Te dwie role mają także nieco podobieństwa z sobą, różnią się o tyle, że jedna w większe, druga w mniejsze ramy jest oprawiona.

Po panu Rychterze należy się uznanie panu Zboińskiemu. W ucharakteryzowaniu się, w każdem słowie, we wszystkiem widoczna była praca i usiłowanie. Wywiązał się też z zadania bardzo trudnego pomyślnie i pomimo, że stał obok takiéj gwiazdy jaką jest pan Rychter, potrafił jednak szczególną uwagę i poklask publiczności pozyskać. Razili nas tylko owi senatorzy Nieświeżscy, którym wystarczało słów kilka powiedzieć, żeby złudzenie dobrą grą zdobyte w jednéj chwili rozwiać. Nie robimy tém wymówki dyrekcyi, bo teatr jeszcze w początkach, ale kto wie czy w téj potrzebie nie będziemy, tembardziéj że się dowiadujemy o zmniejszeniu sił dramatycznych, a mianowicie o ubytku pracowitéj, bardzo zdatnéj i lubionéj przez publiczność artystki panny J. Góreckiéj.

W ostatni Wtorek dnia 18. Kwietnia na benefis p. Rychtera dany był Skąpiec Moliera, w tłomaczeniu p. J. Narzymskiego. Sztuka ta jedna z najlepszych genialnego komedyo-pisarza obiega wszystkie sceny cywilizowanéj Europy — my jedni tylko jesteśmy w tém położeniu, że dla nas jest ona nowością. Zastrzegamy sobie na późniéj rozbiór znakomitszych dramaturgów europejskich, w liczbie których Moliere będzie jedno z pierwszych miejsc zajmował — dziś zaś poprzestaniemy na ogólnym rzucie oka.

Skąpiec jakkolwiek jest komedyą nie z naszych czasów i nie z naszego społeczeństwa, przedstawiając typy ogólne, pojęty być może przez wszystkich, a to pojęcie ułatwia jeszcze sposób uwydatniania myśli autora kolorami jaskrawemi i prostemi, niezostawiającemi nic do domysłu słuchaczowi. To też od początku aż do końca słuchacze z całą uwagą i zrozumieniem szli za grą artystów. Jak w sztukach wyżéj wymienionych, tak i w téj mówić musimy o panu Rychterze jako głównie dźwigającym ciężar przedstawienia. Z tych ról pana Rychtera, któreśmy tu w Poznaniu widzieli, rola Skąpca według zdania naszego jest najznakomitszą kreacyą jego. Tem więcéj podnosi to talent artysty, że nieledwie każde zdanie wypowiedziane w téj roli wymaga gry oddzielnéj. Ciągła zmiana wrażeń Skąpca, ciągły niepokój, ciągle oczy zwrócone na zmorę za nim chodzącą, ciągła pamięć o dorabianiu grosza, w końcu domięszana chęć małżeństwa i zazdrość ztąd wynikła, splata się bezustannie. Chcąc to wszystko oddać, chcąc przedstawić człowieka nie z jednego punktu, ale odfotografować całą duszę jego, jak ją w Skąpcu autor przedstawił, potrzeba prócz wielkiéj rutyny, bystrości, żywości, słowem tych wszystkich przymiotów jakimi talent pana Rychtera jest obdarzony. Czwarty akt n. p. kiedy Harpagon dowiaduje się o wykradzeniu skarbu zakopanego, gra pana Rychtera była mistrzowską. Najwięcéj wymagająca krytyka niczby tu dodać, nic ująć nie mogła, Po nad krytykę, wyżéj jeszcze stawiamy wrażenie publiczności. Trzeba było wiedzieć jak w téj chwili gra p. Rychtera panowała nad uczuciami wszystkich. Uroczysta cichość i oczy stale na scenę zwrócone, bez poruszenia nieledwie, były najwymowniéjszem świadectwem gry artysty.

Pomimo, że wielu jest przeciwnego zdania, nam się zdaje, że p. Doroszyński w roli swéj służącego zanadto wiele trywialnością ją ustroił. Komika jego w obec tragicznéj postaci zacierały jéj efekt, co więcéj, były to dodatki, na które nie wiemy czyby Moliere chciał się zgodzić. Wykradanie świecy z kieszeni, ewolucye z nożem i przyrządami kucharskiemi, w końcu ciągły śmiech niezdawał się nam odpowiedni roli. Jednakże w tem kierunku jak ją chciał oddać p. Doroszyński, odegrana była dobrze, a nawet pewnéj części publiczności się podobała. Całość wypadła wybornie, chociaż w niektórych miejscach czuć się dawały nożyce reżyserskie.

Krótkie nasze sprawozdanie piszemy w dzień przedstawienia Wujaszka całego świata, po którem p. Nowakowski z towarzystwem wyjeżdża do Gniezna, p. Rychter zaś do Warszawy.

Rok już drugi mamy stałą scenę w Poznaniu. Przez czas ten teatr wpływ swój wywarł. Z dniem każdym widzimy zamiłowanie dla sztuki wzrastające, scena staje się już dziś nie chwilową, ale stałą potrzebą, a artyści co raz więcéj uczuwają, że nie są gośćmi lecz członkami naszego społeczeństwa.

Z drugiéj strony należy się uznanie p. Nowakowskiemu i jego towarzystwu za usilną pracę około dobra sceny. Przedstawianie dwóch lub trzech sztuk na tydzień nowych, zmuszało artystów naszych do ciągłéj, mozolnéj i bardzo niewdzięcznéj pracy. Przypominamy towarzystwo pana Skorupki i porównywamy je z naszem — jeżeli tamto przewyższało talentami, to nasze sumienną i cichą pracą stokroć wyżéj stoi. To też niech nam wolno będzie dziś pożegnać tych, którzy żyją pracując wśród nas i którzy niejedną chwilę nam uprzyjemnili. Spodziewamy się, że Gniezno równie jak i Poznań serdecznie gości przyjmie, że da dowód zamiłowania w sztuce, która uszlachetnia umysł i broni naszych cech narodowych. Jednocześnie żegnamy i p. Rychtera, którego bytność na długo pozostanie nam w pamięci. Spodziewamy się, że nie będzie ostatnią!

X. Y.

Szarada.

Pierwsza z czwartą do rzędu robaków należy,
Trzecia zaś jest najmilsza rozkosz dla młodzieży,
Druga i pierwsza miasto gdzieś w świecie nad morzem,
Znane ze swego handlu, a szczególnie zbożem.
Wszystko jest słynny człowiek, osobistość rzadka,
Który? Zgadnijcie proszę, bo łatwa zagadka.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 16: *Szarada.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu L. O. z Gniezna: Serdecznie dziękujemy. Prosimy o więcéj. — Abonentowi na prowincyi: Wyjątek przesłany przez Pana z Gazety W. widocznie nie musiał być dobrze zrozumiany. Zechciéj pan w czytać się dobrze a ręczymy, że nieznajdziesz tego co zarzucasz. Nie szczycimy się pochwałą, ale i ubliżającą ją nie widzimy. — Panu Zernitti w Poznaniu: Z niektóremi zmianami zamieścimy. Tymczasem przyjm pan podziękowanie. — Panu Iskrze w Gnieźnie: Za korespondencyę wdzięczni jesteśmy — korzystać z niéj jednak nie możemy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)